Nr. 46. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 13. Listopada 1847.*



Ruiny zamku Ujazdzkiego (Krzyżtopor) w wojew. Sandomirskiém.

Krzyżtopór.

Tak nazywał się dawny zamek Ossolińskich, sławny na całą Polskę z wytwornéj i najwyszukańszéj wspaniałości, dziś już tylko w rozwalinach zostający. Położony jest w dzisiejszym obwodzie Sandomirskim, o cztery mile na zachód od miasta Sandomierza, nie daleko miasteczka Iwanisk, przy wsi Ujazdzie, od któréj dziś *Ujazdzkiego zamku* imię mu dają. Wystawił go w pierwszéj połowie siedmnastego wieku Krzysztof Ossoliński, wojewoda Sandomirski, brat sławnego Jerzego Ossolińskiego, żyjący za panowania Zygmunta i Władysława Wazów. Dziwną spowodowany oryginalnością, chciał fundator, aby zamek jego tyle miał wnętrznych dziedzińców, ile pór w roku; tyle pokojów, ile tygodni; tyle okien, ile dni w roku. Dla dania wyobrażenia o wnętrznych sprzętów okazałości, dość powiedzieć: że żłoby nawet w stajniach były marmurowe. Kosztowało też wystawienie zamku trzydzieści milionów złotych Polskich ówczesnéj monety, to jest pięć razy tyle dzisiejszéj. Trwała budowa zamku lat trzydzieści, i roku 1644 został skończony.

Podany nam w dziele Puffendorfa, o wojnach Karola Gustawa, plan zamku Krzyżtoporskiego, daje nam wyobrażenie o wewnętrznem jego rozporządzeniu; i żałować tylko można, że nie dał nam autor, jak przy innych zamkach, projekcyjnego widoku, po czémby o jego facyacie, wieżach i całéj zwierzchniéj postaci, sądzić można było. Podług tego Puffendorfskiego planu, różnił się zupełnie zamek Ossolińskich od dawniéj wystawionych w Iłży, Pinczowie, Wiśnicy, Tyńcu, Tenczynie i t. d., noszących jeszcze średnich wieków cechę. Krzyżtopór wystawia wytworniejszą już siedmnastego wieku, a zwłaszcza Włoskiego gustu architekturę. Choć równie, jak poprzedzające, był obronnym zamkiem, bo obwiedziony regularną pięciokątową i pięćbastyonową fortyfikacyą, i z szerokim rowem; wnętrze jednak wystawia pałac czterokątny, z obszernym dziedzińcem od frontu, dwoma bocznemi w ukośnym kształcie dla officyn i stajni, i czwartym mniejszym dziedzińcem w środku samego pałacu. O zewnętrznéj postaci gmachu daje nam niejakie wyobrażenie rysunek **V o g l a**, w zbiorze widoków Polskich, wystawujący już zamek w rozwalinach. Widać w nim jeszcze główne wejście do zamku, część wałów, dwie wieże, a po obu stronach głównéj bramy, wykute z kamienia *krzyż* i *topór* (herb Ossolińskich), które dwa słowa nazwisko *Krzyżtopór* składają.

Słuszna była myśl obwarowania zamku, w kraju zawsze wystawionym na najazdy dziczy Tatarskiéj, i w którym nieraz nawet magnaci między sobą wojnę toczyć byli gotowi. Ale nierozsądném było, tyle przepychu i kosztowności na oblężenia i inne skutki wojen wystawić, a témbardziéj jeszcze była nierozsądną owa pycha familijna Krzysztofa Ossolińskiego, gdy sam był bezdzietny, a najbliższy jego krewny, Jerzy Ossoliński, bez męskich potomków. Dwa lata po ukończeniu dzieła sw jego skończył też zawód swój Krzysztof, a czt ry lat po nim Jerzy Ossoliński. Przypadł Krzyżtopór na dział jednéj z córek Jerzego, a po téjże zamężciu przeszedł do innych rodzin. Podpadł też wkrótce owym klęskom, które przy napadzie Karola Gustawa na całą Polskę się zlały. Roku 1655 zdobyty został zamek Krzyżtoporski przez Szwedów, jak tyle innych zamków, i równie jak tamte złupiony. Ucierpiał późniéj w wojnie Konfederatów Tarnogrodzkich przeciw Sasom Augusta II., a bardziéj jeszcze w zaciętych walkach Konfederatów Barskich przeciw Rossyanom. Odtąd już przestał być mieszkalnym, i coraz bardziéj do zupełnéj zbliża się zagłady.

Panna Postępowa.

(Dokończenie.)

— Ale wtenczas, gdyś pan miał to widzenie, nie grzmiało wcale, odezwała się z przekąsem do pana B* jedna z młodych inteligencyi.

— Teraz grzmi, rzekł surowo pan Władysław, spojrzawszy dziwnie na młodzieńca.

Jakoż huk głuchy rozległ się po powietrzu, i grzmot silny, przeciągły, przeraźliwy, zdawał się zbliżać ku domowi i nad samym jego dachem przesuwać. Młodzieniec spuścił oczy w ziemię, wszyscy przytomni zsunęli się bliżéj, panienki chwyciły jedna drugą za rękę, a pani S* objęła tulącą się do siebie pannę Salomeę, jakby ją chciała macierzyńskiém skrzydłem przed bliskiém nieszczęściem osłonić.

Pomimo wrażenia, jakie opowiadan[illegible] jora sprawiło, zwłaszcza przy towarzy[illegible] życ[illegible]

mu okolicznościach, powab tego rodzaju legend jest tak wielki, że jedna zwykle wywołuje drugą. Gdy ten i ów wypowiedział swoję, pułkownik T*, człowiek poważny i nie lubiący płocho powtarzać bajeczek bez treści, rzekł:

— Czy uważacie państwo, że niéma żadnéj powieści o zjawieniach nadzwyczajnych, któraby się nie łączyła z jakiémś poważném uczuciem przyjaźni, miłości, czci dziecinnéj; któraby nie zawierała w sobie kary za niedowiarstwo, za nieuczczenie woli rodzicielskiéj, za złamanie przysięgi, za zgwałcenie tych świętych przepisów, które natura tajemniczym palcem w sercach naszych wypisała. I dlategoto one znajdują tak jawną wiarę w prostaczkach, tak głęboką, choć starannie tajoną w mędrkach, bo w każdéj jest coś świętego, jest jakieś echo i wyraz sumienia.

— Masz racyą, masz racyą pułkowniku, przerwała jedna z dam, 60-letnia staruszka, ale jeszcze żywa i mowna. Jako potwierdzenie twojéj uwagi, opowiém państwu co się zdarzyło mojemu znajomemu hr. Ch.* i co mi sam lat temu kilkadziesiąt opowiadał. Byłam wówczas bardzo młodą, ale wrażenie zostało. Widzicie tedy państwo, że to czasy dawniejsze, ale niedowiarstwo, ze wszystkiemi jego konsekwencyami, nie jest rzeczą nową. W młodości hr. Ch.* czytywał tylko same Francuskie książki i miał się za wielkiego filozofa. *Le bon sens* był jego Bogiem, i naturalnie sprowadzał go z drogi ewangielii i niektórych punktów dziesięciorga przykazów. Hr. Ch.* miał matkę, starą kobiétę, niezmiernie pobożną, cnotliwą, dobroczynną; słowem, wzór matron, ostatek owych dawnych i świętych kobiét, które panowanie Stanisława Augusta wypleniło z Polski, a które jeszcze gdzieniegdzie kryły się po zakątach prowincyi. Otoż zacna ta pani, znając zasady i widząc życie swego jedynaka, niezmiernie się martwiła, i upominała go często słowem i łzami; ale gdy to nic nie pomagało, gdy syn filozof chciał jeszcze starą matkę nawracać, gdy z przekąsem, z ironią jéj odpowiadał, i zarzucał ją argumentami, na które zadrżała w głębi duszy, opuściła go, udała się do innego majątku koło Sokala, i tam zamknąwszy się w domu, zabroniła do niego wstępu synowi. Nie żyła ona z nikim, oddawszy się całkiem dobrym uczynkom i modlitwie gorącéj, macierzyńskiéj, za to dziécię, które tak zawiodło jéj nadzieje, i taką boleścią serce jéj napełniło. Trwało to lat blisko dziesięć. Po upłynieniu tego czasu hr. Ch.* czy tknięty sumieniem, o czém bardzo wątpię, czy dlatego, że się miał żenić, i dla formy chciał zyskać błogosławieństwo matki, czy, że się bał, aby go nie wydziedziczyła, co najpodobniejsze do prawdy, przez przyjaciół i przez listy zaczął ją błagać o przebaczenie; pisał széroko o swojém nawróceniu, cytował ewangielią, na znak, że ją czyta, i wszelkich używał sposobów, któreby tknęły serce matki i wyjednały mu pozwolenie oglądania jéj oblicza. Długo nie odbiérał żadnéj odpowiedzi. Nareszcie odpisała mu, że przejeżdżając do Lwowa, dnia 5. Czerwca wieczorem zajedzie do jego domu i tam przenocuje. Uradowany syn przygotował się stósownie do przyjęcia tak pożądanego gościa; powyrzucał z pokojów obrazy i koPersztychy, któreby mogły staruszkę zgorszyć, a których było pełno; w bibliotece swojéj książki podejrzane pozasuwał w głąb', a niektóre nawet na strych kazał wynieść; nad łóżkiem swojém powiesił krucyfix i położył na gotowalni ewangielią, i jeden tom Śgo Augustyna; uprzedził swego proboszcza, że matka przyjedzie 5go Czerwca, i prosił aby 6go rano był gotów ze mszą. Starzec ten był przyjacielem i spowiednikiem hrabiny. Ona była jego kollatorką na to probostwo, i nieraz z nim razem użalała się i płakała nad obłąkaniem syna. Radość więc jego była wielka, i w kościółku i na probostwie, którego dom leżał nad széroką drogą, prowadzącą tylko do dworu; czyniono także wielkie przygotowania. Nadszedł nareszcie 5ty Czerwca, zbliżył się wieczór, i hr. Ch.* wyglądał co moment przez okna swego domu, z którego widzieć można było tę drogę. Dziwny jakiś niepokój go ogarnął, gdy minęła naznaczona godzina. Wybiła wreszcie dziewiąta, daléj dziesiąta i jedenasta, a nikt nie przyjeżdżał. Utrudzony ciągłém oczekiwaniem hrabia, i zmęczony moralnie, wyglądając tak stanowczéj dla siebie minuty, kazał otworzyć bramę dziedzińca i pilnować przybycia matki; kamerdynerowi polecił, aby siedział w otwartém oknie, aby nie spał, i zbudził go natychmiast. Sam zaś udał się do sypialnego pokoju, rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i zasnął. We trzy godziny, bo właśnie była druga, zerwał się równemi nogami, usłyszawszy



Posąg Arcybiskupa Dunina w Poznaniu.

turkot powozów, klaskanie z biczów, szczekanie i wycie psów na dziedzińcu. Wybiegł więc do sali. Kamerdyner oparty na oknie spał jak zabity. Zbudził go hrabia i z nim razem pobiegł pędem ze schodów, aby jeszcze w przysionku spotkać przybyłą matkę. Ale w przysionku było cicho, przed gankiem pusto, i na dziedzińcu głuche milczenie. Stróże przy bramie spali, żadnéj żywéj istoty nie było widać, żaden pies nie szczeknął, żaden listek nie ruszał się na topolach dziedzińca. Zadziwiony i uderzony tém hrabia, wrócił na górę, usiadł w otwartém oknie i patrzył smutny i zamyślony na drogę, która szła koło domu proboszcza i ciągnęła się w prostéj linii przez wieś wielką i porządną. Ranek już powstawał, i daleko widno było na drodze. W kwadrans dopiéro obaczył hrabia idącego ku pałacowi proboszcza. Spieszył jak mógł starzec, i białe jego włosy rozrzucał wietrzyk, który powstawał także z dniem rozbudzonym.

— Co tu robisz tak rano, księże proboszczu? zapytał go hrabia z okna.

— Moja dobrodzika przyjechała, odpowiedział ksiądz; dawnom jéj nie widział i przyszedłem powitać, nim się położy i odpocznie z drogi.

— Ale mojéj matki niéma, księże proboszczu; słyszysz, jak tu pusto i głucho.

— Słyszałem przecież, odpowiedział z uśmiéchem proboszcz, jak przejeżdżała koło moich okien. Nie widziałem wprawdzie karéty, bom się właśnie wówczas zdrzymał, długo czekając, ale słyszałem wyraźnie turkot i trzaskanie z bicza, a przecież ta droga prowadzi tylko do pałacu. — Zastanowiło to niezmiernie hrabiego. Poprosił proboszcza na górę, usiedli oba w témże samém oknie i rozmawiali o tak nadzwyczajném zdarzeniu. Już blisko godziny trwała ich rozmowa, już dobrze dnieć zaczynało, gdy nagle usłyszeli tentent, i na drodze za probostwem ujrzeli kogoś wiérzchem w całym galopie rozpędzonego konia. Nie mogli jeszcze rozpoznać, ktoby to był taki, bo go otaczała chmura kurzawy, ale widocznie pędził ku pałacowi, i serce hrabiego dziwną ścisnęło się trwogą. W parę minut jeździec stanął pod oknem, i postrzegłszy w niém wychylonego hrabiego, zeskoczył z konia. Był to kozak hrabiny, dawny wierny sługa.

— Gdzie moja matka, Harasymie? krzyknął hrabia.

— Pani, odpowiedział kozak, obcierając oczy siwym wąsem, stąd o półtory mili przed godziną — umarła.

Proboszcz ukląkł i modlić się zaczął, a hrabia upadłszy na krzesło, zakrył twarz rękami i rzewnie i głośno zapłakał.

Umilkła narratorka i wszyscy milczeli, tylko niebo grało. Nowa, straszliwa nadciągnęła chmura i coraz silniéj błyskać zaczęło; po krótkiéj chwili uroczystego milczenia, rzekł niespodzianie pan Władysław:

— Teraz pozwólcie mi państwo, moję własną opowiedzieć wam historyą.

Na ten głos wszyscy mimowolnie zadrżeli, ale niepohamowaną ciekawością zdjęci zsunęli się jeszcze w cieśniejsze kółko, i z natężeniem słuchali. Pan Władysław podniósł twarz bladą i surową, spojrzał w okno na chmurę coraz bliższą, i coraz groźniejszą, rzucił jeszcze raz okiem na pannę Salomeę, która z głuchym jękiem przytuliła się do matki, i odezwał się témi słowy:

— O siedm mil od Tarnowa...

Ale zaledwie to wyrzekł, gdy błyskawica tak silna oświéciła pokój, że wszyscy z krzykiem zakryli sobie oczy; w téjże saméj prawie chwili huk gwałtowny dał się słyszéć, wszystkie szyby zadzwoniły, i połowa obecnych kobiét upadła na kolana. Jeszcze zgromadzone w pokoju osoby nie przyszły do siebie, jeszcze nawet najzuchwalsi mężczyzni nie opamiętali się zupełnie, gdy nagle blask jaskrawy, czerwony, uderzył w okna i zalał pokój. Krzyk powstał na dziedzińcu między zgromadzonemi tam ludźmi; turkot uciekających z dziedzińca powozów obił się o uszy, a odgłos za domem i w domu: pożar! pożar! dopełnił tego obrazu zgrozy i zamieszania.

Rzucili się wszyscy do okien i naprzeciwko nich; za klombem lip, których ciemna postać odbiła się na tle ognistém, ujrzeli dach stajen majora w płomieniu. Na ten widok mężczyzni wypadli pędem na dziedziniec, zaczęli wołać ratunku, i biédz na pomoc majorowi. Pani S* upadła na kolana i modlić się zaczęła; w całéj grupie kobiét panowało milczenie i osłupienie, a panna Salomea, na którą wychodzący pan Władysław ostatni jeszcze raz spojrzał,

krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się za nim ku drzwiom.

Napróżno wszystkie kobiéty zastąpiły jéj drogę i puścić nie chciały. Jak lwica rozsrożona, która miała stracić co jéj było najdroższém na ziemi, rozerwała ich słaby zastęp i z bladą twarzą, z obłąkanym wzrokiem wypadła na dziedziniec. Tam schwycił ją pułkownik i gwałtem koło lip przytrzymał.

Tymczasem p. Władysław wyprzedził wszystkich, porwał topór, który leżał koło stajni, i grzmiącym głosem, którego brzmienie pokryło huk płomienia, krzyk i wrzawę zgromadzonych tam ludzi, zawołał:

— Precz od stajni. Odcinajcie kommunikacyą innych budowli. Tu niechaj nikt nie waży się wchodzić, za chwilę cały ten budynek runie w popiele.

Téj komendzie nikt się oprzéć nie śmiał. Wszyscy poskoczyli rozrywać dach sąsiedni, a on sam jeden, podniósłszy w górę topór, rzucił się do stajni, z któréj drzwi i okien dym i płomień buchał potokiem. Po krótkiéj chwili z poucinanemi od uzdeczek powrozami, konie ze stajni wybiegać zaczęły, i na przekor swojéj naturze, ciągnącéj ich do ognia, z rżeniem i przestrachem uciekały przez dziedziniec na ulicę. Wtenczas na ścieli budynku obnażonego już ze słomianego pokrycia, śród płonących krokiew, pokazał się pan Władysław. Jak duch jaki w czarném nietkniętém odzieniu, z rozwianemi włosami, widny był i straszny. Stał tak czas niejaki nieporuszony i patrzył w to miejsce, gdzie panna Salomea do niego wyciągała ręce. Raptem ogarnął go zewsząd płomień, i niepojęty ów człowiek zsunął się w głąb', a na głowę jego zwalił się dach potrzaskany, i legły ściany płonące. Pułkownik krzyknął przeraźliwie, a u nóg jego leżała biédna panna Salomea zimna i bez ruchu.

Zaniesiono ją do pokoju, i dzielny ratunek przyprowadził nieszczęśliwą do zmysłów. W godzinę potém rozjechali się goście i wyjaśniło się niebo. Zaraz po zapadnieniu się i zniknieniu pana Władysława, dészcz gwałtowny lunął i przygasił prawie pożar.

Strata więc majora była nie wielka, ale boleść ogromna; témbardziéj, że mimo największych usiłowań, ani wyratować młodzieńca, ani ciało jego odszukać nie zdołano. Na rozpacz córki biédny ten ojciec patrzéć nie mógł. O matce cóż powiedziéć? tylko modlitwa ją utrzymywała, tylko korne uchylenie głowy przed wyższą, niepojętą władzą, krzepiło nieszczęśliwą. Po panu Władysławie żaden ślad nie został, tylko na jego stole Szekspir otwarty, i te słowa Hamleta, któreśmy w dewizie umieścili, czerwono podkréślone. Panna Salomea wzięła do siebie i zachowała tę jedyną pamiątkę.

Przy końcu Października tegoż samego roku, karéta sześciokonna ciągnęła się zwolna za Radomskiem po drodze złéj i piaszczystéj. Wieczór już był dość późny, ale pogodny i miły.

Na zakręcie drogi, gdy karéta minęła las i na czyste wyjechała pole, lokaj i furman krzyknęli razem: „Jasna góra! Jasna góra!“ i zdjąwszy czapki, zaczęli się żegnać i modlić.

— Stój! stój! zawołano z powozu, który się w téjże chwili zatrzymał. Trzy osoby z niego wysiadły i poszły na prawo pod krzyż, który stał samotnie o kilkanaście kroków od drogi. A wprost przed niémi we mgle wieczoru wznosiła się wysoka massa świętych murów, a na szczycie wieży zaczęło migać światełko, przyzywające rozbitków życia do tego portu ulgi i pociechy. Panna szła naprzód blada i schorzała, za nią ojciec z ubieloną głową prowadził słabą i znękaną matkę. Gdy przyszli pod krzyż, wszystko troje rzucili się na kolana i gorąco modlić się zaczęli. Panna pochyliła korną głowę aż do ziemi, ojciec ufném wejrzeniem wzywał pomocy, a matka z serdeczną wiarą wyciągnęła ręce do téj opiekunki wszystkich matek, która wśród chwały niebios pomna swego macierzyństwa, czuwa ciągle nad ziemią, gdzie sama bolała i traciła.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

Posąg Arcybiskupa Dunina w Poznaniu.

Wizerunek tu przyłączony przedstawia posąg Arcybiskupa Dunina, który się w tumie Poznańskim od roku znajduje. — Z zadziwieniem i prawdziwym żalem serca, dotąd nie słyszałam ani czytałam nigdzie wzmianki o tym pomniku! To milczenie jest krzywdą zasłudze, jest to przepomnienie występne! Biorę więc pióro do ręki, kiedy nikt dotąd na ziemi ojczystéj się nie odezwał! Niechże *Przyjaciel Ludu*, który umieścił gadkę gminną o **Piotrze Du-**

ninie Włoszczu, który daje wizerunki Dürrera, Holbeina, Schöna i innych ludzi, aczkolwiek sławnych, jednak nie wiele obchodzących nasz *Lud*; — niechże, mówię, raczy dać miejsce temu, który ten *Lud* prowadził do cnoty i do wykonywania przepisów prawa bożego, i który przez tenże *Lud* był tyle miłowanym. (*)

Posąg, o którym mowa, — jest postawiony przez szanowną siostrę Arcybiskupa, Pannę Scholastykę Dunin. — Myślą pierwszą jéj było, aby dzieło to, na ziemi ojczystéj, z krajowego głazu wyrobiono. — Ale w Krakowie, dokąd się udano w tym celu, i nie było snycerza, któryby się podjął téj pracy, i zachodziły różne trudności; — ś. p. Edward Raczyński, proszony także, przedsięwziął mówić ze sławnym Rauchem, — lecz Rauch zbyt zajęty i obarczony innemi robotami, zaledwie prostą piramidę z kamienia i z kosztem nie małym obiecywał wykonać. — Udała się więc Panna Dunin daléj, — a przez pośrednictwo przyjaciół, zgłosiła się do rzeźbiarza Strasburgskiego Friederich, już wielce wsławionego, szczególniéj przez piękną pracę grobowca Marszałka Turenna pod Rastadt, w księstwie Badeńskiém, — jakoteż przez postawienie pomnika Erwinowi, budowniczemu katedry Strasburgskiéj. Ten to pomnik (**) Pan Friederich wyrobił i ustawił swym własnym kosztem, w Steinbach, w księstwie Badeńskiém, w rodzinném miejscu Erwina, tak jak on teraz, niegdyś Strasburg zamieszkującego. Zapalony dla wszystkiego co wzniosłe, cnotliwe, ślachetne, posłyszawszy o czynach Dunina, podjął się rzeźbiarz dzieła i wykonał je z dziwną biegłością. Mając tylko rycinę Arcybiskupa, później dopiero dostawszy popiersie jego w Berlinie wykonane; z opowiadania prawie trafił podobieństwo.

Posąg wielkości 8miu stóp, z różowego kamienia, wystawia Dunina opierającego się nogą na podstawie ściętego słupa, na którym widać *Orła*. Tak oparty Dunin, trzymając w ręku Ewanielią, wskazuje palcem na pismo Ojca świętego, na niéj położone. Na tym słupie spoczywają godła arcypasterskie, jest i herb rodzinny, i napis, że pomnik ten siostra bratu postawiła.

Posąg ten godzien męża, którego pamiątce poświęcony, — godny też jest miejsca, jakie zajmuje w świątyni, już ozdobionéj arcydziełem posągów pierwszych Królów naszych. — Oni wiarę świętą wprowadzili do kraju; — Dunin ją w czystości utrzymać usiłował. Cześć im! cześć jemu! a wdzięczność niech będzie cnotliwéj siostrze, która ze szczupłego mienia, nie szczędziła kosztu dla uwiecznienia pamięci ukochanego i czci godnego brata.

Nie przestając na posągu, Panna Scholastyka Dunin jeszcze i dla Fary Gnieźnieńskiéj kazała odlać znacznéj wielkości, nader piękną z bronzu płaskorzeźbę z wizerunkiem brata; jest ona także dłuta Friedericha. Nie mając rysunku téj płaskorzeźby, nie mogę go tu dołączyć, łatwo go Wydawnictwo Przyjaciela Ludu z Gniezna może otrzymać.

Genewa, Październik 1847 r.

Karolina z Potockich,
Nakwaska.

(*) Na uwagę tę odpowie Redakcya w następnym numerze.

(**) W skutek pomyłki pomnik ten późniéj dopiero umieszczony będzie.

Przyp. Red.

Nowiny literackie.

Wyszły w r. b. następujące dzieła:

W Warszawie:

1. Czytania Józi. Dziełko przeznaczone dla małych dziewczynek, mianowicie między 10. a 12. rokiem, przez Stanisława Jachowicza. 8ka. Warszawa 1847. Nakład Fr. Spiess i Spółki. Druk H. Hirszel i M. Schindele. Złp. 5.
2. Książka młodéj Chrześcianki. Listy do mojéj córki chrzestnéj na różne czasy jéj życia. Przekład bezimienny, wydany przez Teodozego Sierocińskiego, professora języka Polskiego i literatury w instytucie Alexandryjskim. 2 tomy. 12ka. Warszawa 1847. Nakład G. L. Glüksberga, druk Strąbskiego. Złp. 12.
3. Flora Polska jawnokwiatowych rodzajów, czyli botaniczne opisy tak dzikich jako i hodowanych pod otwartém niebem jawnokwiatowych królestwa Polskiego roślin, uporządkowane według zasad sztucznego układu, a poprzedzone ogólném wyobrażeniem o znaczniejszych przyrodzonych pokrewieństwach roślinnego królestwa przez Jakóba Wagę, Mag. fil., Prof. bot. w gimnazyum Łomżyńskiém. Tom I. 8ka. Warszawa 1847. Druk St. Strąbskiego. Złp. 15.
4. Kazania adwentowe J. G. Massillona, Biskupa Klermonckiego, z Francuskiego na język Polski wytłumaczone przez Ks. Adama J. K. Szeleskiego. Wydanie drugie przejrzane i poprawione. 8ka. Warszawa 1847. Nakład Fr. Spiess et Comp. Druk Strąbskiego. Złp. 12.
5. Pieniądze Piastów, od czasów dawniejszych do roku 1300, rozbiorem źródeł spółczesnych i wyko-

palisk, oraz porównaniem typów mennicznych objaśnione. 8ka. Warszawa 1847. Druk Komissyi rząd. sprawiedliwości. (Przytém tablic 37.) Złp. 24.

6. Emiliana Rewuskiego studya filozoficzno-literackie. Warszawa 1847. Nakładem Henryka Natansona. (Dzieło to zawiera w sobie zajmujące rozprawy, jako to: Stanowisko Szekspira w historyi umysłu ludzkiego, — Lord Byron w obec wieku, — Kalderon de la Barca i jego teatr. Kamoens i poezya Luzytańska. Złp. 8.

Poranki i Wieczory. Obrazy, Skice i Powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. 2 tomy. 8ka. Warszawa 1847. Druk Józefa Unger. Złp. 10.

8. Powołanie i walka z szatanem. Dwie powieści przez Józefinę O.... 3 tomy. Warszawa 1848. Nakładem G. Sennewalda. Złp 12.

W Krakowie:

..a zadań z geometryi wykreślonéj jako dodatek do dzieła ś. p. Franciszka Sapalskiego, z przykładem zastósowania powierzchni wichrowatych w ciesiołce, napisał Teofil Żebrawski (z czterema tablicami) 8ka. Kraków 1847. Druk St. Gieszkowskiego. Nakład J. Cypcera. Złp. 3. gr. 10.

W Wilnie:

1. Ostap Bondarczuk. Powieść przez J. J. Kraszewskiego. 12ka. Wilno 1847. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Złp. 7.

2. Anegdoty i fraszki doznanéj usypiającéj własności, przez komitet medyczny sprawdzone i approbowane. Drużyna zbierana przez Johna of Dycalp. 12. Wilno 1847. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. Złp. 6. gr. 20.

W Poznaniu:

Cztery powieści. Poznań, 1848. Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Spółki. (Powieści są następujące: 1. Zdarzenie w podróży. Opowiadanie dawnego wojskowego przez R. Z. 2. Konik Zwierzyniecki. Powieść i obraz przez Sierpińskiego. 3. Artystka. Obrazek z naszego społeczeństwa przez J. Koeniga z Warszawy. 4. Pająk. Urywki z listów młodego artysty, przez J. B. Dnikońskiego.) Złp. 3.

W Lipsku:

Nowe opowiadania Johna of Dycalp. Lipsk, 1847. Wydanie J. N. Bobrowicza. Nakładem księgarni zagranicznéj.

Gazeta Lwowska, z dodaniem feiletonu, pod redakcyą Wincentego Pola, zacznie wychodzić codziennie.

Czytelnia przy bibliotece Ossolińskich ma być otworzoną w r. b.

Nasz powszechnie znany naturalista, Ks. St. Jundziłł, umarł 15. Kwietnia r. b. w Wilnie, mając lat 86.

Ks. Bonifacy Stanisław Jundziłł, były w uniwersytecie Wileńskim Prof. botaniki i zoologii, członek Towarzystwa przyjaciół nauk, zbogacił ojczystą literaturę dziełami systematycznémi o botanice i innych częściach historyi naturalnéj.

Jego dzieła są następujące:

1. Opisanie roślin w prowincyi Wielk. księstwa Litewskiego naturalnie rosnących według układu Lineusza, przez Ks. B. S. Jundziłła, S. P.; w Wilnie, w drukarni XX. Pijarów 1791, in 8vo, str. 571. Z początku od str. 39—50 umieszczona jest wiadomość o stanie botaniki w Polsce.
2. Początki botaniki, fizyologia roślin, nauka wyrazów przez Ks. Bonif. Stan. Jundziłła, w Warszawie u XX. Pijarów 1804, in 8vo, 2 tomy, 113 i 112 stronic.
3. Zoologia, krótko zebrana przez Ks. Bonif. Stan. Jundziłła; w Wilnie u Zawadzkiego, 1807, in 8vo; 3 tomy, 346, 349 i 428 stronic.

Korrespondencya.

Ponieważ często się zdarza, że łaskawi współpracownicy Przyjaciela Ludu pragną odpowiedzi na swoje listy, a liczne zatrudnienia mi nie dozwalają, abym temu życzeniu zadosyć uczynił; postanowiłem w piśmie przeze mnie redagowaném umieszczać odpowiedzi. Niechaj mi wszyscy przebaczyć raczą, jeżeli się dla tego, żem nie odpisał, czują obrażonymi. Wszelkie przysyłki proszę adressować: „Do Redakcyi Przyjaciela Ludu w księgarni Günthera w Lesznie.“

Autora artykułów: *Treny*, czyli *narzekalnice Bulgara*, i *Charakter ślachetny jednego Polskiego woźnicy*, przepraszam, żem dotąd jego prac nie umieścił; może będę mógł wkrótce to uskutecznić. Na uwagi i zarzuty Jego chętnie odpowiem, jeżeli pozwoli, abym je ogłosił w naszém piśmie.

Redaktor.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)